

ZUPEŁNIE INNY REJS.

Wtorek wieczór, wyruszyłem do Gdyni. Granatowy worek, nieodzowny towarzysz wszystkich rejsów, spakowany „do pełna”. Jadę pociągiem z Tadeuszem, moim kolegą nie tylko żeglarskim. Na „wschodnim” przesiadka i dołączy do nas Marek, warszawski żeglarz, kaphornowiec. Już w trójkę, przy szklaneczce rumu z colą opowiadam chłopakom, czego się mogą spodziewać. Marek jak zwykle rozbawia całe towarzystwo. Zastanawiam się, kogo spotkam z zeszłego roku, kto kocha ten żaglowiec tak jak ja, by płynąć nim jeszcze raz. Wiem, że będzie Jacek, więc będą fajne zdjęcia z rejsu. Komendant też ten sam, ale czy będzie Asia? I czy też będzie oficerem III wachty? Na szczęście rum i Marek łagodzą zniecierpliwienie i pytania przestają kołatać w głowie. Słodką drzemkę przerywa konduktor, dojeżdżamy do Gdyni. Teraz tylko taksówką na francuskie nabrzeże. Ze względu na remont w basenie prezydenckim Dar stoi całą zimę raz w porcie wojennym, raz przy francuskim. Jesteśmy na miejscu. Dar wśród portowych żurawi niestety nie wygląda tak pięknie jak przy skwerze Kościuszki. Idziemy koło hangarów błotnistą drogą omijając kałuże. Docieramy do trapu – serce drży – WRÓCIŁEM!

Wąskim trapez przeciskam się niosąc przed sobą worek, a w zasadzie wyrzucając go raz po raz do przodu. Na mostku szkolnym pusto. Drzwi od strony nabrzeża zamknięte. Obchodzę mostek - drugie są otwarte. Wchodzimy niepewnie. Nikogo nie ma. Załączony laptop świadczy jednak o czyjejś obecności.

- Dobry wieczór. Halo. Jest tu ktoś? – cisza.

Zrzucamy worki i plecaki, i czekamy. Po chwili pojawia się młody chłopak przekręca klucz w drzwiach sprawdzający czy były zamknięte.

- A Panowie? Przecież zamknąłem drzwi?! Jak Panowie weszli?

- Drugie były otwarte – odpowiadam.

Mina zdziwienia przechodząca w zakłopotanie tłumaczy całą sytuację. Środek nocy, całodobowa wachta portowa usprawiedliwia zmęczenie – zapomniał zamknąć.

- Która wachta ma dziś „dobówkę”?- pytam

- Druga

Dając paszporty dodaje:

- My z III wachty. Czyli jutro wachta dobową. – dobrze, że zrobiliśmy zaopatrzenie po drodze, bo jutro nie będzie możliwości wyjścia na miasto.

Na twarzy (pewnie instruktora II wachty) maluje się kolejne zdziwienie.

- Panowie widzę wszystko już wiecie – mówi uśmiechając się – numery okrętowe 101, 103, a Pan 81, kubryk 151 i 153b, proszę za mną.

Wychodzimy za instruktorem. Przez pokład schodami w dół i na prawą burtę. Mimo późnej pory w kubryku jasno i pusto.

- Koją 101, koja 103 – pokazuje instruktor – a Pana proszę za mną – mówi do Marka.

Ja mam dolną Tadek górą. Jest super, zaraz przy drzwiach i korytarzu.

- Na dziobie jest jeszcze impreza – wychodząc rzuca instruktor.

- Tak, tak, jeszcze imprezują – odzywa się głos z koi obok. To Jacek!

- Cześć! Jak tam?! Ktoś jeszcze jest?

Po krótkim powitaniu, szybko się rozbieramy. Rzucamy worki na koje i do mesy studenckiej. Po drodze mijamy człowieka, który objając się o szoty, coś krzyczy bełkocząc. Wyraźnie się zgubił. Świeżo wysłuchany Borchardt nasuwa myśl: „... znaczy, za słaby, znaczy musi mniej pić”. Mijamy jeszcze kilka osób, których stan wyraźnie wskazuje, że impreza powoli dobiega końca. Niemożliwe. Czy ja na pewno jestem na Darze? A może na statku jest tylko ten młody instruktor? Nie, to niemożliwe. W mesie faktycznie zabawa się kończy. Witamy się z Kowalem – znajomym Marka, przysiadając się do jego stolika. Jednak po chwili okazują się, że rum, który tak bawił nas w pociągu, teraz odbiera ostatnie resztki sił, którymi podtrzymuję powieki. Spać, spać, spać. Idę spać! Jutro pobudka o 0700. Idąc korytarzem próbuję sobie przypomnieć pierwsze wrażenie z zeszłego roku. No tak, to na pewno będzie inny rejs, zupełnie inny.

Niski ton agregatu budzi mnie o 0645. W zasadzie agregat warczy całą dobę, a tylko moje zmysły go ignorowały pozwalając spać całe 5 godzin. Wczorajszy rum, na szczęście całkowicie odszedł w zapomnienie. Szybka poranna toaleta i na pokład. Na mostku wiszą już dwie „dechy”. Lista obecności załogi, czyli kilkadziesiąt suwaków opisanych: Kapitan, St. Oficer, Oficer I, Oficer II, ... Bosman I, itd. Każdy suwak ma możliwość ustawienia w pozycji PORT lub STATEK. Rzut oka i już wiem – Komendant na statku, Asi (III Oficer) i naszego bosmana jeszcze nie ma. No tak oni są z Gdyni, więc pewnie są jeszcze w domu. Na drugiej czarnej tablicy ktoś napisał: „Załoga na burcie godz. 1800. Kapitan”. Czyli „decha” na szóstą. Pewnie wieczorem wyjdziemy w morze. Statek powoli budzi się do życia.

Kręcąc się po pokładzie tu i ówdzie spotykam kogoś z załogi. Ci, których pamiętam z zeszłego roku, witają się zemną. Płynęliśmy razem niespełna dwa tygodnie, a Oni pamiętają mnie – to bardzo miłe. Pytają czy ktoś jest jeszcze z zeszłego roku. Rozmowy są krótkie, bo dziś wychodzimy w morze, więc mają dużo roboty. Co chwilę ktoś pojawia się na trapie z plecakiem, workiem, a nawet - plastikową walizką!

Śniadanie jak zwykle pyszne. Przypominam sobie przysmaki z zeszłego roku i już wiem, że nie będzie żadnych szans „zrzucić” choćby kilogram nadwagi. Rozmowy w mesie przerywa głos z okrętowego radiowęzła: - Uwaga załoga i żeglarze! Uwaga załoga i żeglarze! Przygotowanie do zbiórki do podniesienia bandery. Odnosimy naczynia na pentrę studencką gdzie „nowy” steward uwija się za czterech. Szybko ogarniam koję i znowu głośniczek nade mną zaprasza:

- Uwaga załoga i żeglarze! Uwaga załoga i żeglarze! Zbiórka na rufie do podniesienia bandery!

Razem z Tadiem, Jackiem i Markiem stajemy na lewej burcie na rufie. Jako „weteran” wiem gdzie jest miejsce III wachty na zbiórce, więc zapraszam pozostałych. Przy okazji poznajemy się i przedstawiamy. Lecz nie sposób zapamiętać od razu wszystkich imion w wachcie liczącej 36 osób. Dlaczego nikt nie wymyślił jakiś identyfikatorów? Przecież to sprawdzony sposób z przedszkola! A tak, przez pierwsze dni, jak w zeszłym roku, najczęściej słyszany okrzykiem będzie:

- Ej, kolego!

Młody instruktor walcząc z nieśmiałością próbuje uformować dwuszereg. Nie ma łatwego zadania. Ma 21 może 22 lata, a przed nim stoją ludzie, niektórzy ponad dwa razy starsi. Mówi głośno, stanowczo, ale jego mina zdradza, że nie jest pewien naszej reakcji. W zeszłym roku instruktorem był Daniel, teraz jest w pierwszej wachcie. On pewnie by sobie poradził bez problemu, pływał wcześniej jako bosman na Pogorii, ale Maćka – naszego instruktora to dopiero drugi rejs w tej roli. Wcześniej przez 2 tygodnie był ze studentami Akademii, a teraz ma krzyczeć na ludzi w wieku jego ojca!?

Moje rozmyślenia przerywa gwizdek Oficera wachtowego. Czapki z głów i bandera wspina się po flagsztoku – drewnianym trzymetrowym maszcie umieszczonym na samej rufie. Okrętowy dzwon wybija czwartą szklanę, gdy osiąga jego koniec.

Przez głowę przelatuje myśl: „Znaczący, Panowie zrobili to porządnie”.

Z nadbudówki schodzi Starszy Oficer w towarzystwie swojej Asystentki. Po krótkim wprowadzeniu przedstawia plan zajęć na dziś: po pierwsze familiryzacja, po drugie familiryzacja, po trzecie bieganie po rejach.

Familiryzacja - ten zwrot będzie się dziś powtarzał jak echo na wszystkich pokładach Daru Młodzieży. Na koniec po raz pierwszy pada sakramentalne: „...do zajęć!”

Rozchodzimy się, gdy z ust naszego instruktora pada okrzyk:

- Trzecia wachta zbiórka pod forszotem!

No tak, zaczyna się dobówka. Owczym pędem podążamy za instruktorem. Coraz skuteczniejszy, ustawia nas przed rufową nadbudówką, czyli forszotem, na której znajdują się oba mostki, szkolny na dole, a na górze ten właściwy, z którego dowodzi się statkiem. Uformowany dwuszereg, odlicza. Za plecami biała ściana nosi pamiątki rejsów Daru Młodzieży po całym świecie. Kolorowe znaczki pokrywają niemal całą ścianę. Pojawia się nasza Oficer – Asia. Niema jeszcze wszystkich, ale trzeba rozdzielić wachty służbowe: kuchnia cztery osoby, pentra studencka trzy osoby, pentra załogowa jedna, wc- męskie dwie, wc damskie jedna pani, korytarze dwie osoby, trap na początek dwie przez cztery godziny, później będzie zmiana. Zgłaszam się do pentry załogowej. Ciekawe, co o u Stewarda Adasia? Jeszcze go nie widziałem. Musiał rano mieć dużo zajęć.

Zgłaszam się na pentrę.

- Ooo! Czesć! Jest ktoś jeszcze z zeszłego roku? – wita mnie Adam. Pamięta. Po krótkim przypomnieniu kilku kolegów z zeszłego roku bierzemy się do sprzątnięcia po śniadaniu.

To: „Jest ktoś jeszcze z zeszłego roku?” pojawia się coraz częściej. Pentra przylega oczywiście do mesy załogowej, a to miejsce spotkań całej załogi. Co chwile pojawia się ktoś znajomy, zagląda również Pan Komendant. Wita uśmiechem i uściskiem dłoni. Coraz częściej się czuję jak by ten rok przerwy trwał krótką chwilę. Jak bym tylko na chwilę zszedł na ląd i zaraz wrócił. Talerze wędrują przez komorę zlewu szybko umyte do drugiej komory. Teraz płukanie i na suszarkę. Rytm, w który wpadłem przerywa głos za plecami:

- Jareczek? To Ty?

- Cześć! – to Piotr, steward gospodarczy. Odpowiedzialny za część hotelową, czyli pościel, ręczniki, ubrania, środki czystości, pralnię, itd. oraz „sklepik z pamiątkami”. W zeszłym roku zaprzyjaźniliśmy się.

- Co tu robisz? Płyniesz z Nami?

- No pewnie. Przecież wiesz, że zakochałem się w Darze w zeszłym roku. Nie ma już dla mnie nadziei. Jestem stracony. – żartuję, choć nie wiem czy to aby nie jest prawda.

Rozmowę przerywa kolejna partia naczyń.

- Jadłeś już śniadanie? – pytam Piotra

- Jeszcze nie.

- To zjedz, a ja, jak ogarnę pentrę to przyjdę i pogadamy.

Starszy steward, starszy, szczupły, lekko zasuszony człowiek, milcząco przynosi talerze. Jest tu bardzo długo. Był z Darem na Hornie i wielu innych rejsach. Prowadzi kantinę wydzielając lub zupełnie ograniczając zakupy papierosów i alkoholu, przez co nie jest za bardzo lubiany przez załogę. No cóż ktoś to musi robić. Chwila przerwy pozwala na krótką rozmowę z Adamem, którą przerywa nam damska wycieczka. Rozglądając się wchodzi na pentrę.

- Szukamy damskiej toalety – uśmiechając się, pytają. Spoglądamy z Adamem na siebie ze zdziwieniem.
- No chyba nie tu! – odpowiada Adam, wzbudzając ogólną radość. Piękne uśmiech dwóch blondynek prowadzących wycieczkę ostatecznie nas rozmiękcza. Po wyjaśnieniach wycofują się, już we właściwym kierunku.

Pentra ogarnięta. Z Piotrem pogadałem. Do obiadu wolne. Idę na mostek pogadać z Aśką. Przy trapię koledzy z wachty zasypują pytaniami:

- Komu odgwizdywać świst? Kto to wszedł?
- Komendantowi, Chifowi, Oficerom, Bosmanom, Intendentowi.
- Witam!
- Cześć! – odpowiada intendent

- Obsługujecie również tablicę – listę obecności. – instruuję – chyba, że ktoś sam sobie zmienia.

Asia wraca na mostek. Po przywitaniu i krótkiej rozmowie o paru wybitnych postaciach z zeszłego roku, przybycie „nowych” żeglarzy przerywa nam wspomnianie. Wracam do trapu. Komendant biega po trapiu tam i z powrotem. Chłopaki z wachty nie gwizdzą, bo sytuacja zrobiłaby się, co najmniej komiczna. Samochody z zaopatrzeniem pojawiają się, co chwilę. Widać, że czasu coraz mniej. Przecież dziś: „Idziemy w morze!”

Pierwsza i druga wachta ćwiczą bieganie do marsa, czyli pierwszej platformy na maszcie. Każda na swoim. Pierwsza biega po fok. Druga po grocie. Tylko nasz, ostatni, trzeci maszt - krocj stoi pusty. Może by tak ... ? Nie, lepiej nie, jeszcze spiszą ze statku w pierwszym dniu. Przyglądam się jak zaczynają pod okiem instruktora powoli przechodzić na grot reję. Nagle z rei dobiega krzyk:

- Panie Chifie. Mamy mały problem. – krzyczy nasz Maciek
- Mały problem to nie problem – żartuje Starszy Oficer
- No to nie mały. Człowiek się zaciął i nie chce zejść.

Mina Chifa poważnieje. Faktycznie, na środku grotrei stoi na percie jakiś blady gość i kurczowo zaciska ręce na metalowych prętach zwanych jaksztagami. Natychmiast obok Chifa pojawia się Komendant:

- Spokojnie! Moment! – krzyczy ubierając niewiedomo skąd wzięte szelki. Chiff też już w szelkach podbiega pod wanty, po których Komendant wspina się, prędkością dorównując „małpie”. Obaj szybko przechodzą na reję i ustawiają się po obu stronach nieszczęśnika. Wpinają się wąsami swoich szelek w jego uprząż i po chwili cała trójka zaczyna się przesuwac w kierunku masztu, aż docierają do platformy. Tam, po długiej psychoterapii, zaczyna się powolna wędrówka na dół po wantach. Akcja ratunkowa zakończona pełnym sukcesem. Jeszcze blady, ale już szczęśliwy człowiek ląduje na pokładzie. Dobrze, że nie stało się to w morzu pomyślałem.

Obiad spędzam oczywiście na pentrze załogowej, gdzie po raz drugi odwiedza nas ta sama damska wycieczka.
- Dzień dobry, przyszedliśmy na obiad – śmieją się dziewczyny. Do mesy oficerskiej?! Moje zdziwienie przechodzi w rozbawienie.

- No chyba nie tu! – powtarzam słowa Adama – w przeciwnym kierunku, tam jest mesa studencka.

Oj będzie wesoło z tymi dziewczynami, tak coś czuję – pomyślałem.

Na koniec przychodzi Piotr i razem z Adamem zasiadamy do obiadu. Mesa oficerska, talerze z logo Daru Młodzieży, grawerowane sztucce – przywilej służby na pentrze. Już nie czuję się jak na irlandzkim zmywaku, tylko jak VIP na żaglowcu. Co prawda po repetę muszę iść sam, ale mam jej pod dostatkiem. Jak tu zrzucić te kilogramy – żadnych szans!

Po obiedzie, jeszcze na pentrze, spotyka mnie nasz Instruktor Maciek.

- Zostałeś wybrany starszym wachty.

- Ja? Dlaczego?

- Rozmawiałem z kilkoma osobami i stwierdzili, że najlepiej się nadajesz.

- Ja? Z kim rozmawiałeś?

- No w twoim kubryku i tym drugim. Zresztą nieważne. Zgadzasz się?

- Nooo, nie. Starszy wachty ma przewalone. Rozdziela służby więc nie jest za bardzo lubiany.

- Nie ma innego kandydata. Zostałeś wybrany. Masz tu listę wachty i podziel służby. Te dzisiejsze już wpisałem.
– skończył Maciek

Tak zostałem starszym wachty. Pamiętam z zeszłego roku, że nie była to osoba ciesząca się szacunkiem. Miałem mieszane uczucia. Może nie będzie tak źle. Jest w końcu Tadeusz, Marek i Jacek. Będę miał jakieś wsparcie. Może faktycznie lepiej jak będzie to ktoś, kto ma doświadczenie na statku. Co prawda tylko dwutygodniowe ale, zawsze doświadczenie.

- Uwaga załoga i żeglarze! Uwaga załoga i żeglarze! Zbiórka wszystkich żeglarzy na rufie – damski głos rozbrzmiewa z głośnika przerywając moją drzemkę – to nasza Pani Oficer.
Na rufie coraz ciałniej. Wyraźnie widać, że są już prawie wszyscy. Pan Komendant – dr. inż. kap. ż. w. Artur Król – Prodziekan Wydziału Nawigacyjnego AM w Gdyni – obecnie najmłodszy na świecie kapitan żaglowca klasy A, wita wszystkich. Razem z nim cała załoga pokładowa i część maszynowej. Starszy Oficer na Darze zwany Kapitanem (kto czytał Borchardt’a ten wie, że wywodzi się to z floty francuskiej) również zwany Chifem jak na innych statkach. Dalej Oficerowie wachtowi, wśród nich nasza Asia. Główny mechanik – Chif maszynowy. Bosmani ze Starszym Bosmanem na czele. Instruktorzy. Lekarz wraz pielęgniarką. Dr Andrzej Szklarski – organizator rejsu oraz wykładowca na kursie radaru i ARPA, który ma się odbyć w czasie rejsu.
- ... oraz kucharze, stewardzi, marynarz, cieśla, pomocnicy mechanika, elektryk, którzy są pod pokładem – ciągnął Kapitan – mam nadzieję, że nikogo nie pominąłem?
Na te słowa mężczyzna ubrany w mundur galowy ze złotem na pagonach lekko wysunął się przed szereg, uśmiechając się do Komendanta.
- Oj! Przepraszam! – krzyknął Komendant – nasz Pan intendent, Pan Ryszard, przepraszam bardzo. Pominął bym osobę, która tak dobrze, dba by niczego nam nie zabrakło.
- Drobiazg Panie Komendancie, nie ma sprawy – uśmiechając się powiedział Pan Ryszard.
- Pan się ubrał najstosowniej, a ja prawie Pana pominąłem. Mam nadzieję, że mi Pan wybaczy – łagodził Komendant.
- Wybaczam – odpowiedział Intendent, chcąc chyba jak najszybciej zakończyć tą krępującą sytuację.
- Wybaczy! Bo wszystkie Ryśki to fajne chłopaki! – ktoś krzyknął z żeglarzy, cytując z filmu „Miś”, co ostatecznie rozładowało atmosferę.
Po oficjalnym przywitaniu powróciliśmy do swoich zadań. Planowane wypłynięcie na godzinę 20:00.

Spacerując po rufie trafiam na zawody. Kto dalej trafi rzutką. Instruktor, Cieśla i Starszy Bosman starają się rzucić jak najdalej, a przy okazji nie uszkodzić samochodów zaparkowanych przy nabrzeżu. Dołączam do zabawy. Wygrywa Cieśla, jego rzutka trafia do rampy hangaru. Zawody przerywa przyjazd Rektora AM.
- Tego samochodu lepiej nie uszkodzić – śmiejemy się wszyscy.
Sternicy manewrowi w osobach Chifa i jego Asystentki Marysi (studentki AM) na stanowisku. Ośmiu wybrańców wraz z Instruktorem, Bosmanem i Panią Oficer na rufie. Jeszcze tylko czekamy na zejście ze statku Rektora, który przyszedł nas pożegnać.
- Rufa gotowa – melduje Asia przez UKFkę
- Dziób gotowy, trap gotowy, rufa na single up - słychać w radiu, oddajemy zdublowane cumy i szpringi.
- Zawalić trap – głos Komendanta oznajmia że zaczynamy manewry.
- Oddać rufową – rozkazuje Asia.
Pilot na pokładzie pojawia się na prawym skrzydełku, to znowu znika na mostku. Ster strumieniowy zamontowany dwa lata temu pozwala teraz odejść bez holownika.
- Oddać szpring rufowy – krzyczy Trzecia Oficer
Szpring rufowy oddany i ruszmy małą na przód. Mijamy główki portu i wychodzimy na zatokę. Kończymy klar na cumach zwijając je w wielkie bębny na rufowej nadbudówce. To jeden z elementów, którym wyróżnia się Dar, sposób klarowania lin. Zatoka gładka. Wiatr słaby. Czy wystarczy go by postawić żagle? A może, jak „Szman morski” troszeczkę pozaklinać morze: „Silniej Matko Morze, Silniej!”
Pilot znika za burtą równo z opadającą na naszym krojemaszcie flagą H. Litera H, czyli sygnał w Międzynarodowym Kodzie Sygnałowym oznacza – „Mam pilota na pokładzie”. Oba silniczki równo pracują pchając nas w kierunku Helu. Zaczął się rejs. Mój drugi rejs na tym pięknym żaglowcu.

Wieczorną wachtę spędzam w mesie, to przywilej służby dobowej. Rano muszę się zameldować o 0700 na pentrze załogowej. Minęliśmy Hel. Siedzę i próbuję rozpisnąć wachty. Przypominam sobie doświadczenia z zeszłego roku, więc rozpisuję tylko na trzy dni do przodu. Ktoś może zachorować, inny się skaleczy i cały plan bierze w łeb. Już mamy jednego chorego. Lekarz zaordynował antybiotyki i koję, więc zaznaczam sobie, by nie

przydzielić mu przez przypadek jakiejs służby. Inny ma skaleczony palec, „wypada” z kuchni, wc i pentry, ale korytarze może sprzątać. Do służby morskiej na mostku potrzebne są cztery osoby – dwie na ster i po jednej do obserwacji „na oczy”. Ustaliłem z Asia, że będę wyznaczał pięciu tak by się mogli zmieniać i ogrzać. Jest naprawdę zimno. Za Helem przywiało, więc chyba postawimy żagle. Moją buchalterię przerywa zgłęb powracających z wachty morskiej.

- Jeden zawisł na reji – melduje Marek

- Tiiiaaa – śmieje się niedowierzając

- Naprawdę! Odpadł z dolnego marsa i zawisł na lajflince. Nie wierzysz?

- Wkręcasz mnie – przecież znam Marka i jego żarty. To niemożliwe. To byłby pierwszy przypadek, jaki znam, że ktoś odpadł od reji. Jednak powracający z wachty koledzy potwierdzają wydarzenie. Aż wreszcie pojawia się sam bohater.

- Poszli rozwiązywać marsa bo stawialiśmy żagle i gość nagle odpadł. Wszyscy zaczęli krzyczeć, z mostka wybiegł Komendant. Na szczęście na górze był instruktor Maciek. Przeszedł na reje prawie do końca noku wpiął się wąsami w lajflinkę i wracając przeciągnął gościa do masztu. Całą akcją kierował z dołu komendant. – relacjonuje Marek.

- Jak to się stało? – pytam bohatera

- Nie wiem. Żagiel leżał jeszcze na reji. Nie było się czego trzymać. Łapałem się przedniego jaksztagu, ale był zimny i śliski. W pewnym momencie ręka, którą się trzymała ześlizgnęła się z jaksztagu i tyle. – Jeszcze z lekkim przerażeniem uzupełnia relację bohater.

- Za szczęśliwe ocalenie – wznosimy toast szklaneczką rumu. Regulamin co prawda zabrania ..., ale wobec takiej okazji musimy go złamać. Zresztą jak mówi stare przysłowie: „alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w dużych ilościach”. Gdzieś w kącie mesy zaczyna rozbrzmiewać gitara a za nią śpiew. Wieczorna impreza III wachty rozkręca się.

Minęła druga. Czas spać. Jutro pentra i muszę zdążyć na „banderę” by rozdzielić służby.

Talerze pędzą przez obie komory na suszarkę z prędkością, której nie powstydziliby się żaden gasarbaiter w Irlandii. Muszę ogarnąć wszystko i zdążyć na „banderę”. Trudno pogodzić funkcję starszego wachty i służbę dobową, ale dam radę. Zmywam po sobie i pędzę na zbiórkę Piotr i Adam muszą posprzątać po sobie sami. Powoli wpadamy w rytm: „bandera!” – „do zajęć!” – „zbiórka pod forszotem!”. Stajemy teraz na przeciwko forszotu gdzie już czeka wachta II zdająca służbę.

- Starszy wachty dopilnuje żeby wachta na zbiórkę stawiała w szelkach! I sam też założy! – słyszę z góry głos Oficer

- Ale ja prosto z ... Tak jest! – krzyczę. Szkoda czasu na tłumaczenie, że leciałem prosto z pentry, że normalnie bym nie musiał, ale jako starszy wachty muszę być na zbiórce.

- Służba morska na zawietrznej, zbiórka! Gdzie jest bosmański II wachty? Prowadź na mostek! – koordynuję przejście służb morskich. Pięciu „Rycerzy Króla Artura” wędruje po schodach na mostek, prowadzeni przez bosmańskiego II wachty. Dzwon wybija czwartą szklankę, gdy instruktor II wachty, też Maciek, krzyczy:

- Smacznego! – jest to sygnał dla II wachty do rozejścia się. Mogą teraz iść na śniadanie.

Po krótkiej przerwie dla uzupełnienia szelek, Maciek woła:

- W dwuszeregu pod forszotem zbiórka. Dobówki wróciły? CMK na dole? Kolejno odlicz.

Po sprawdzeniu stanu wachty Maciek przekazuje:

- Będziemy stawiać bram i bombram, chętni na reje stają koło mnie.

Zgłaszam się razem z innymi do wejścia na dwie najwyższe reje naszego masztu. Zakładam rękawiczki. W zasadzie zalecane jest chodzenie po rejach z gołymi rękami, ale w zeszłym roku moje się sprawdziły. Pozwalają wytrzymać w początkowej fazie wchodzenia, gdy ręce nie są jeszcze rozgrzane, a wanty zimne i lekko oblodzone. Wspinam się na marsa, potem na saling i bramsaling, aż w końcu docieram na koniec bombramreji zwany nokiem. Rozwiązujemy żagiel i zrzucamy go z reji, teraz trzyma się tylko na gordingach i gejtawach – linach służących do zrzucania, czyli podciągania żagla do reji. Gotowe! Można schodzić, gdy zbliżam się do masztu przez głowę przelatuję myśl. Takiej okazji nie można przepuścić. Jabłko krojcmasztu znajduje się kilka metrów ode mnie. Czekam chwilę, aż pozostali zejść na bramsaling i szybko wspinam się na szczyt masztu. W zeszłym roku udało mi się zaliczyć wszystkie trzy jabłka i to z wszystkimi szykanami, czyli bez zgody i wiedzy przełożonych. Wpinam się do wolnego ucha na jabłku, kolanami obejmuję wspornik anteny i rozpościeram ręce. Wolność! Wiatr szumi mi w uszach, pode mną morze i Dar, jakby mniejszy z wysokości 50m. Wystarczy, czas wracać. Szybko schodzę doganiając resztę. Chyba nikt, poza kolegami na rejach, nie zauważył? To dobrze. Jabłko krojca zaliczone z szykanami – „...znaczy, porządnie”

Na dole chwila odpoczynku i stawiamy żagle. Stoję na stoperze, krótkiej liny służącej do zastopowania, przytrzymania właściwej liny w momencie jej przywiązywania. Wachta podzielona na dwie grupy czeka w

pełnej gotowości przy szotach służących do stawiania żagla rejowego. Jeden długi gwizdek i okrzyk: „wzięli szoty” wprawia w ruch maszynę złożoną z kilkunastu osób rytmicznie ciągnącą linę. Jest! Łańcuch szota wszedł w szyber, czyli krążek na końcu reji. Do rogu żagla przymocowany jest łańcuch dalej przechodzący w linkę stalową bloczkami sprowadzoną w dół do połowy masztu. Na końcu tej stalowej liny jest bloczek, przez który przeciągnięta jest elastyczna lina, za którą się ciągnie.

- Nie oddawać! Biorą! – krzyczy III Oficer. Stoperem próbuję pomóc przytrzymując uciekającą linę. Seria krótkich gwizdków sygnalizuje, że muszę szybko zastopować tak by można było obłożyć linę na nagłu, stalowym słupku służącym do wiązania.

- Lekki luz! Let go! – krzyczę – obłóż! – lina zamocowana.

Kobieta w tańcu, koń w galopie i ten widok! – Wszystkie żagle postawione! Idę na dziób. Przechodzę na bukszpryt i kładę się. CO ZA WIDOK ! Fala lekko mnie kołysze, rozbijając się o dziób. Idziemy jakieś 7 węzłów. Wiatr niestety nie sprzyja. Cały czas zachodnia ćwiartka. Idziemy pod Olandię lub Karlskoronę jak uda się wyostrzyć. Jutro ma się odwrócić na NWN, więc może uda się obrać właściwy kierunek, który nas zbliży do cieśnin duńskich.

Po obiedzie szykujemy się do „niezapowiedzianego” alarmu ogólnego, a po nim, do alarmu pożarowego. Ubrani w kurtki i czapki z założonymi pasami ratunkowymi czekam na NIEZAPOWIEDZIANY alarm do opuszczenia statku. Seria krótkich dzwonków podrywa wszystkich. Szybko, ale bez przepychania wychodzimy na pokład i ustawiamy się pod grotem, gdzie jest nasz masterstejszyn.

- W dwu szeregu ! Kolejno odlicz! – wydaje komendy.

- ... szesnaście, siedemnaście, osiemnaście niepełny!

- Trzecia wachta w komplecie - melduję Asystentce Chifa.

Do środków ratunkowych ! – wydaje komendę Chif. Idę na rufową nadbudówkę na prawej burcie do mojej tratwy. Dowodzącym tratwy jest Cieśla, wywołuje kolejno numery statkowe:

- Sto trzy!

- Jestem – podnoszę rękę.

Czekam na odwołanie alarmu. Dwa krótkie dzwonki kończą zabawę. Rozbieramy się i zaczynamy schodzić, gdy dzwonek znowu rozbrzmiewa. To alarm pożarowy. Teraz trzymając w ręku pas ratunkowy biegniemy znowu pod grot. Dwusereg, odliczanie, są wszyscy – melduję. Drużyna p-poż. ubiera się w srebrne kombinezony i hełmy. Bosmani podłączają węże strażackie. Teraz próba wody. Wszystkie środki p-poż sprawdzone. Na koniec Maciek pokazuje jak ubrać „Helly Hansena” – kombinezon pozwalający przetrwać dłużej w zimnej wodzie. Dwa dzwonki i schodzimy do kubryka.

Zrobił się już wieczór. Wiatr nie odkręca. Przeoraliśmy Bałtyk, i jak tak dalej pójdzie przeoramy Szwecję. Musimy zachować odległość 12 mil od brzegu, gdyż Dar Młodzieży jest wpisany w rejestr, jako statek rządowy i zgodę na przekroczenie granicy trzeba załatwiać kilka miesięcy wcześniej. Dziwne niby „schengen”, a nas nie dotyczy.

- Uwaga załoga i żeglarze! Uwaga załoga i żeglarze! Przygotowanie do alarmu do żagli! – rozbrzmiewa przez głośnik. Idę na mostek zaciągnąć języka. Na mostku Komendant wyjaśnia, że stajemy na kotwicy by poczekać do jutra na zmianę wiatru.

Biegamy już po rejach jak wiewiórki. Chętnych do sprzątania żagli, aż nadto, niewiele brakowało, żebym się nie załapał. Tym razem nie pcham się na nok, tylko zostaję przy bajfucie. To taki wielki zawias, którym reja przymocowana jest do masztu. Klarujemy w tempie regatowym i schodzimy na dół.

Za kołem dwa Jacki zaskoczeni sytuacją usłyszeli z mostku:

- Ster lewo na burt – Ich ręce zaczynają biegać po obu kołach sterowych jak chomik w klatce. Trochę się trzeba nakręcić by wyłożyć ster na burtę. To jakieś 50 obrotów prawie półtorametrowym kołem! Idę na dziób. Tam Starszy bosman, w pogotowiu trzyma kotwicę na hamulcu. Wszystko gotowe. Pierwszy Oficer stoi na skrzydełku z radiem przy uchu.

- Rzucić kotwicę! – skrzeczy radio – Rzucić kotwicę! – powtarza Pierwszy.

Bosman zwalnia szczęki hamulca. Ważące 1,5 tony żelazo z hałasem wpada w wodę. Łańcuch z hukiem objima się o kluzę kotwiczną, przez którą jest przewleczony. Czuję gęsią skórę na karku. To zawsze robi wrażenie!

- Dwie szakle – krzyczy bosman zaciskając hamulec na windzie kotwicznej. Pisk i dym z okładzin. Pędzący z prędkością 5 m/s łańcuch zaczyna zwalniać.

- Dwie szakle w wodzie –powtarza do radia Pierwszy.
- Wydać cztery szakle łańcucha – odpowiada radio
Hamulec zwolniony i łańcuch znowu się rozpędza. Tu najmniejszy błąd może skończyć się tragedią. Liczę szybko w myślach cztery szakle po dwadzieścia pięć metrów każda, przez trzy, czyli na jakiś 30 metrach stoimy. Znowu pisk hamulca, łańcuch zwalnia aż w końcu na sygnał pierwszego zatrzymuje się. Śwąd spalonych okładzin rozchodzi się po całym dziobowym pokładzie i wdiera się do nosa.
- Cztery szakle w wodzie – melduje Pierwszy przez radio.
- Jak patrzy? – pyta Komendant
- Na ósmą
Minie trochę czasu zanim nasz statek ustawi się na właściwej pozycji. Pozostawione sztaksle, trójkątne żagle, mają to przyspieszyć.
- Co to są te szakle? – ktoś pyta z pierwszej wachty
- To miara długości łańcucha kotwicznego obecnie przyjęta na dwadzieścia pięć metrów, a dawniej było to piętnaście sążni. Łańcuch kotwiczny składał się z odcinków po piętnaście sążni i łączony był szaklami, przez żeglarzy nazywanymi również szeklami. Takie łączenie łańcucha, pozwalało na wymianę uszkodzonego fragmentu bez konieczności wymiany całego łańcucha – odpowiadam – nasz statek ma dwa łańcuch lewy dziewięć a prawy dziesięć szakli, czyli dwieście pięćdziesiąt metrów! I trzy kotwice. Ta trzecia to zapasowa, leży tu pod gretingiem – pokazuję.
Żelazo w wodzie. Wachta zdana. Można tradycyjnie zasiąść na chwilę w mesie, gdzie „Łosiu” razem z dziewczynami już grają i śpiewają. Dziś będzie spokojna noc. Żadnych alarmów do żagli. Silniki śpią, tylko agregat cały czas warczy, ale ja już go nie słyszę.

Całą noc padał śnieg. Wszędzie można spotkać małe bałwany. To na tratwie, to na ławeczce na rufie, parami, trójkami. Niestety poranne słońce nie wróży im długiego bytu. Zimą na Bałtyk na rejs! I jeszcze za to płacimy! Tylko żeglarze mają tak poprzewracane w głowie!

Winda kotwiczna z mozołem wyciąga łańcuch, oczko po oczku. Jeżeli oczkiem można nazwać ogniwo o długości 15 cm i wadze prawie kilograma. Zapadki rytmicznie stukają zabezpieczając przed niekontrolowanym powrotem łańcucha do wody. Bosman, raz ze skrzydełka, raz przez kluzę obmywa go wodą pod ciśnieniem. Dzwon na dziobie rozbrzmiewa, a trzy uderzenia sygnalizują, że trzecia szakla wyszła z wody. Motorki powoli pchają nas by ulżyć silnikowi windy.
- Jak patrzy? - Co chwilę rozbrzmiewa w radyjku.
- Na pierwszą; Na dwunastą; Na drugą – melduje Pan Pierwszy.
Dzwon sygnalizuje „drugą szaklę z wody”. Starszy bosman obiema rękami ciągnie do siebie manetkę silnika windy jakby sam ciągnął za łańcuch. Obserwuje przy tym bacznie amperomierz z drżącą wskazówką. Nie można przeciążyć silnika. Kotwicę trzeba wybierać w miarę jak na nią napływamy. Pociągnięcie kotwicą, ważącego prawie dwa i pół tysiąca ton statku mogłoby uszkodzić silnik.
- Kotwica pion! – „Pierwszy” przekrzykuje dzwon „ostatniej szakli”. Silnik windy wyraźnie zawył pod dodatkowym obciążeniem półtoratonowej kotwicy.
- Kotwica czysta – melduje Pierwszy Oficer, a Instruktor serią uderzeń w dzwon sygnalizuje koniec manewrów. Ruszmy w kierunku Sundu. Motorki rozpędzają nas do 7 węzłów.

- III wachta zbiórka pod forszotem! – woła Maciek – będziemy stawiać sztaksle. Obstawić fał sztaksła, jeden do niderholera! Czterech do szota do bosmana!
Ustawimy się w rzędzie przy fale, kilku już czeka z boku by dołączyć na początek w trakcie wybierania. Wybieramy chodem – czyli biegnąc z liną i po kolei puszczając ją, wracamy na początek. I tak w kółko, aż fał nie stawia oporu. W nocy padał śnieg i po mokrym pokładzie ślizgamy się jak na lodowisku. Na chwilę tracę równowagę, lecz przytrzymuję się liny. Koledzy ciągną mnie na linie, a ja w ślizgu walczę z by nie upaść. Udało się złapać równowagę i rytm. Ciągnę kolegę za mną, który teraz stracił przyczepność.
- Teraz z miejsca! – krzyczy Maciek, przerywając nam zabawę.
- I raz! I raz! – rytmicznie ciągniemy fał. Seria gwizdków i „tak mocować” kończy nasze zmagania.
- Lekki luz. Let go! – szybkim ruchem „Łosiu” obkłada linę na naglu.
- Fał na morsko – dyryguje Instruktor. W czwórce przyklekamy na pokładzie. Układamy linę w prostokąt, tak poprzepłatany, że lina będzie mogła, swobodnie z niego być wyciągana, bez ryzyka splątania.
- III wachta zbiórka pod forszotem! – zostawiamy naszą precyzyjną robotę i pędzimy do Maćka.
Czterech chętnych na reje występuje z szeregu. Idziemy rozsajzować, czyli rozwiązać żagle. Wspinam się po wantach. Bramsaling – chwila przerwy na złapanie oddechu i dalej na bombram. Przechodzę na nok i zaczynam rozwiązywać. Szarpnię za koniec sajzingu, który wysuwa się spod jaksztagu i odrywa od reji. Lekko zabujałem

się na percie. Próbuje go złapać, lecz sajzing powoli opada do wody tuż za rufą statku. Ktoś zapomniał go przywiązać. Dobrze, że zrobiłem to jedną ręką. Zwis na bombramie pewnie byłby nie lada atrakcją dla statkowych plotek, których oczywiście: Ja nie roznoszę! Zgodnie z osobistym zakazem wydanym przez Komendanta.

Wiatr zmienił kierunek, więc mkniemy teraz na południowy zachód. Oby się taki utrzymał, bo nie zmieścimy się między Szwecją, a Bornholmem. Dobre warunki pozwalają żeglarzom ćwiczyć wejście na najwyższą platformę - bramsaling. No właśnie – to chyba czas na jabłko grota. Ubieram szelki. Melduję do Oficera wyjście na grota. O jabłku chyba zapomniałem powiedzieć, lepiej nie zaprzętać mu głowy takimi drobiazgami. Szybko wspinam się na bramsaling. Piękny widok. Rozglądam się, nikogo nie widać, nie wzbudzam zainteresowania. Wchodzę na jabłko. Czteroramienna antena idealnie nadaje się jako podpórka na nogi. Wyprostowuję się i rozkładam ręce na boki. Statek lekko kołysze się na boki. W zasadzie tego nie czuję, tylko widzę jak pokład przesuwa się raz w lewo, raz w prawo. Zaliczone. Mogę schodzić.

Nocna wachta na mostku. Bałwany wróciły na pokład. Śnieg oblepia żagle zsuwając się z nich na dół. Pojawienie się zasięgu sieci komórkowej wygoniło „światliki” na pokład. Zapatrzeni w telefony bezładnie przechodzą z burty na burtę od czasu do czasu podskakując, gdy żagiel zrzuci śniegową kołderkę tuż przed ich nosem. Stoję na nawietrznym oku, śnieg wali w oczy. Trudno cokolwiek wypatrzeć. Na mostku AIS i ARPA wypatrują za mnie, więc nie zmuszam się do wysiłku, który i tak skazany jest na niepowodzenie. Czekam na zmianę. Później staniemy z Tadkiem za sterem. Przed dziobem miga latarnia.

- Dobry wieczór – witam się z Asią i Komendantem wchodząc na mostek.
- Dobry wieczór – odpowiadają.
- Jak tam zagadka? – pytam Komendanta. Rano zadałem zagadkę z trzema wyłącznikami i trzema żarówkami.
- Myślę, aż się gotuję.
- A ty? – pytam Asię
- Myślę, myślę.
- Może jakaś mała podpowiedź?
- Jeszcze nie!
- W zasadzie to nie podpowiedź, tylko takie bardzo małe naprowadzenie.
- No to dawaj – mówi Kapitan.
- Ża-rów-ka! Nie jarzeniówka tylko żarówka.
- Kurde! Wiem! Ale podpowiedź! Asia wiesz już? – cieszy się Kapitan.
- Nie, jeszcze nie.

Komendant nie wytrzymuje i zdradza rozwiązanie, wciąż zachwycony podpowiedzią.

Przeglądam się mapie szukając: Jaka to latarnia mruga na horyzoncie? Dwa krótkie błyski i przerwa.

- A to Utklipan – myślę głośno – byłem tam w lipcu zeszłego roku - fajna marina.
 - Gdzie? Na wyspie? - pyta Komendant.
 - Tak.
 - Na tej wyspie jest marina? Niemożliwe. – mówi Kapitan wpatrując się w małą kropkę na mapie.
 - W zasadzie to są dwie wyspy. Na jednej latarnia, a na drugiej marina na kilkanaście jachtów ale bez wygod.
- Ciasne wejścia z SE i NW są między wyspami. Dużo skał przed i za główkami.
- Do tej kropki można wpłynąć? Idę sprawdzić, a Pani nawigacyjna sprawdzi, co oznaczają te dwa błyski. – wychodząc, zwrócił się do studentki AM, która też była na mostku.

- Faktycznie są dwie wyspy i sektorówki na wejściach. I jak tam światełka? Znamy odpowiedź? – Komendant pojawił się w drzwiach.
- Jeszcze nie – odpowiada zaczytana w locji studentka.
- A Pan żeglarz wie?
- No chyba to samo, co dwie czarne kule.
- Dokładne tak. I co znalazła Pani? Dwa błyski trzeba zawsze omijać z daleka.
- Niebezpieczeństwo? – pytając - odpowiada studentka Gosia.

Na dworze trochę zelżało.

- Idziemy na ster? – pytam Tadka.
- OK.

Kurs 255. Przez kwadrans sprawdzamy jak słucha steru. Obowiązuje pełna demokracja. Każdy pomysł omawiamy i negocjujemy.

- Ćwiartka w prawo? –pytam
- Ja bym jeszcze zaczekał.
- Jak leży?
- 7 stopni na lewo – odczytuje Tadek. Statek jest bardzo nawietrzny - wracamy na pięć ?
- OK

Po półgodzinie udaje nam się tak ustawić, że steru nie dotykamy jakiś kwadrans. Lekka korekta i o znowu „auto pilot”. Dobrze, że jesteśmy zgodni – śmieję się w duchu. Przedłużające się dyskusje mogłyby doprowadzić do zmiany kursu.

- Ćwiartka w lewo?
 - OK – co za zgodność, pomyślałem. Cokolwiek ćwiartka ma znaczyć.
- I tak, dużo nie kręcąc sterem dotrwaliśmy do końca wachty.

Po wachcie jak zwykle do mesy. Srebrna patera wypełniona wędlinami i serami skupia wszystkich, by po chwili lśnić czystością.

- Wiecie skąd nazwa bagenreja na krocju? –rzucam pytanie. Bagenreja to najniższa reja na trzecim maszcie, tuż na mostkiem.

– nazwa jest wynikiem pewnego błędu popełnionego dawno temu – widzę, że zaintrygowałem słuchaczy więc ciągnę dalej:

- Jak wiadomo żagiel na tej reji musiałby być bardzo krótki, by nie zasłaniać widoczności z mostka. Dlatego jeszcze za czasów „Lwowa”, kiedy to statek szkolny, szkoły w Tczewie, musiał sam zarabiać na swoje utrzymanie, umieszczano na niej właśnie taki krótki, ale bardzo szeroki żagiel. Nie miał on znaczenia dla prędkości statku, za to idealnie nadawał się do umieszczania napisów za które pobierał opłaty – zdziwienie słuchaczy jest tak duże, że z trudem zachowuję powagę – stąd nazwana ją BANER reją, a w wyniku błędu mamy dziś bagenreje. – Wybuchamy wszyscy śmiechem.

W nocy pierwsza i druga wachta sprzątnęła żagle. Wiatr odkręcił na zachodni i opłyniecie Bornholmu od północy na żaglach było niemożliwe. Silniczki równo pracują. Oba po 750 koni mechanicznych połączone wielką przekładnią napędzają wał śruby. Wał o grubości 30 cm pomalowany na żółto w spiralne czarne pasy, wygląda jak zabawka, a nie element wielkiej maszyny. Cała maszynownia jest bardzo kolorowa. Setki rurek, zaworów, pomp i innych urządzeń pomalowane na przeróżne kolory. Na środku zielony agregat prądotwórczy, ten sam, który co wieczór śpiewa mi kołysankę. Za nim, również zielone, wspomniane dwa silniki. W głębi spalarnia śmieci, oczyszczalnia ścieków i odsalarka wody morskiej. Jestem po prostu w części przemysłowej naszego miasteczka. Wracam do CMK, czyli centrali manewrowo kontrolnej statku, tu jest trochę ciszej, więc ściągam słuchawki ochronne. Pulpit sterowniczy z setką wskaźników, przełączników i manetką nastawy śruby robi ogromne wrażenie. Na środku, szafy sterownicze wysokie pod sam sufit. Urządzenia wykonane w starej technologii, bez wyświetlaczy ciekłokrystalicznych, czy diodowych światełek. Wymagają, na pewno, dużej wprawy w obsłudze. Tu nie ma komunikatu na wyświetlaczu o usterce, tu trzeba się orientować po wychyleniu strzałki i lampkach kontrolnych. Mechanik, straszy Pan w okularach, milcząco obserwuje wskaźniki. Przesławia od czasu do czasu jakieś przełączniki. Jago pomocnik elektryk bacznie przygląda się zza jego pleców. Niewątpliwie jestem świadkiem przekazywania wiedzy tajemnej.

Z prędkością 6 węzłów wpływamy w Sund. Tu granica jest wyraźna. Mijamy pławę Falsterbrev, jej RACON, czyli nadajnik radarowy, daje na radarze długą kreskę, literę T alfabetu Morse’a.

Nocna wachta przypada na piękny odcinek naszej trasy. Wychodzimy na Kattegat. Na prawym trawersie Helsinborg, a na lewym pięknie oświetlony zamek Hamleta w Helsingorze. Stoję na mostku obserwując wąskie przejście na mapie.

- Prom, piętnaście na prawo! – melduję Komendantowi.
 - Tak, widzę, dziękuję – odpowiada.
 - A drugi z lewej! – promy, rozpędzają się i bardzo szybko zbliżają.
 - Ster prawo dziesięć – mówi Kapitan do III Oficer, a ta wychyla się do sterników i powtarza:
 - Sternik! Ster prawo dziesięć!.
- Promy mijają nas, z prawej przed dziobem, a z lewej za rufą.
- Ster zero. Kurs 252. – woła Asia do sterników. Powoli wracamy na kurs.

Schodzę na pokład. Pod grotem z daleka słysząc Marka. Trwa segregacja odpadów. Przywilej trzeciej wachty! Na rozłożony brezent Marek wysypuje z worka śmieci. Zakładam rękawicę i dołączam do zabawy. Ogólna radość przy tak ponurym zajęciu jest sukcesem Marka. Rozbawia wszystkich kolejnymi żartami ze śmieci.

- O! Widziałem, że się jeszcze spotkamy. – mówię, wyciągając ze śmieci butelkę, którą wczoraj wyrzuciłem. Nie omieszkam jej powiedzieć „do jutra” przy wczorajszym rozstaniu i się nie pomyliłem. Dobrze, że jest z nami Marek. Pamiętam w zeszłym roku doszło prawie do buntu z powodu śmieci, a dziś sortowanie to najlepsza zabawa. Jeden ubrany w rękawice i okulary ochronne przy pomocy młotka tłucze wszelkie szkło na drobne kawałki zgodnie z wymogami MARPOLU. Pozostali wybierają plastik, papier, metal i wkładają do odpowiednich pojemników. Odpadkami z kuchni karmimy rybki, a wszystko z uśmiechem na twarzy. Marek zupełnie zmienił moje nastawienie do segregacji.

- Uwaga załoga i żeglarze! Uwaga załoga i żeglarz! Alarm do żagli o godzinie 16:00 – odezwał się głośniczek. Morze Północne cieplejsze niż Bałtyk. Ubieram polar i dzinsy. Zakładam szelki. Bez pośpiechu wychodzę na pokład i na mostek zorientować się, co będziemy robili.

- Będzie zwrot przez rufę – oznajmia Pierwszy oficer. 1600 to najlepszy moment bo na pokładzie i tak są dwie wachty.

Po zbiórce pod forszotem, idziemy do brasów pod grotmasztem. Już jesteśmy gotowi, gdy z krocja dobiega na nas hałas łopoczącego żagla.

- Zgasić bombrama! Na krocju! Szybko! – krzyczy starszy bosman. Patrzymy w górę. Faktycznie lewy róg szotowy bombrama szleje na wietrze, a przyczepiony na jego końcu kawałek łańcucha wali, jak pejcz po linach, które znajdują się w jego zasięgu, lub mocno szarpnięty uderza z hukiem w żagiel. Biegniemy pod korojca.

- Szybko! Wybierać gejtawę – krzyczy bosman – luzować prawy szot! Co jest do cholery z tą gejtawą! Tak, tylko która to jest? Nerwowość udzieliła się wszystkim. Skaczemy od sznurka do sznurka krzycząc:

- To ten!

- Nie! To jest gejtawa bombramu!

- Które, to są gordingi? – cała wiedza, zdobyta po tygodniu spędzonym na morzu na nauce sznurków uleciała w sekundzie.

- Co jest z tą gejtawą?! – z mostku krzyczy Kapitan. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że za chwilę możemy stracić żagiel. Przy tym wietrze i szalejącym łańcuchu to tylko moment jak żagiel zacznie się targać. W końcu udaje się nam znaleźć właściwe sznurki i żagiel podciągamy do reji.

- Szybko na górę sklarować go – krzyczy Kapitan

Wspinamy się na górę. Po drodze mijam drugą część łańcucha od szota bombrama, którego jedno z ogniw pękło, powodując całe to zamieszanie. Ten incydent uświadamia nam, jakie siły działają na żagiel i liny. Rozerwać czterocentymetrowe oczko, nie do wiary - myślę. Łańcuch obija się o maszt i wanty, więc wychylam się, łapię go i oplątuje o jedną z nich. Wchodzimy dalej, aż docieram do noku. Żagiel wygląda na nieuszkodzony. Wciągamy go na reję i związujemy sajingami.

- Wszyscy zeszli – po powrocie melduję na mostku.

- Dziękuję. Jak żagiel? – pyta Komendant

- Wygląda OK. Łańcuch pękł w połowie. Drugą część oplątałem wokół wanty.

- Trzeba chyba zrobić jakiś egzamin ze sznurków. Bo przy sprzątaniu bombramu nie popisałiście się. – uśmiecha się Komendant.

- No tak – przytakuję, powoli wycofując się z mostku. Lepiej nie wchodzić w dyskusję. Wybieram manewr awaryjny – ewakuacja!

Dziś niedziela. Tradycyjny dzień inspekcji całego statku. Komisja pod przewodnictwem Komendanta, sprawdza wszystkie pomieszczenia na statku. Znajac tą tradycję rano uprzedziłem wachtę. Sam też zrobiłem porządek na i przed moją kają.

- Mam prośbę, jak będziecie sprzątać korytarz to przejedźcie przez nasz kubryk – mówię do kolegów z wachty mających dyżur na korytarzu.

- OK. Tylko „uwolnijcie” podłogę ! – odpowiada jeden z nich.

- Panowie usuńcie wszystko z podłogi – proszę pozostałych.

Na mostku służba jak w każdy inny dzień. Asia, studentka Gosia, Maciek no i ja. Żarty, opowiadania jak zwykle towarzyszą pilnej obserwacji urządzeń oraz widnokregu. Dołącza do nas Komendant. Jego lekki zarost też nie świadczy o niedzieli.

- Inspekcja już była?

- Nie – odpowiada mi Komendant – no właśnie dziś inspekcja. Wypadałoby się ogolić, chyba. Co Pani o tym sądzi, Pani oficer?

- Jak Pan Komendant uważa – odpowiada Asia

- No bo to tak trochę głupio sprawdzać porządki, a samemu być nieogolonym.

- Może Pan zrobić jak Mosiek z tego dowcipu.

- Jakiego ?

- Gdy w Szabas znalazł sto złotych. I zastanawia się czy podnieść? Czy może pracować w Szabas? I wreszcie zauważa, że wszędzie jest już Szabas, a dokoła niego jest jeszcze piątek. Dookoła Pana Komendanta jest jeszcze sobota, wyraźnie to widzę – śmiejemy się wszyscy.

-Nie. Idę się przygotować – kwituje Komendant i po chwili wychodzi. Ja też idę. Idziemy z Tadeuszem na grota porobić zdjęcia. Pogoda sprzyja, jest słonecznie, trzeba to wykorzystać.

Schodząc spotykam bosmana I wachty, który wraz ze swoją wachtą naprawia Jegera. Drugi, trójkątny żagiel licząc od dziobu, bardzo rzadko jest używany. Zostanie tylko Latacz, czyli pierwszy do przyszycia. Bosman najpierw przygotowuje odpowiedni kawałek łąty na żagiel, po czym smaruje klejem łątę oraz żagiel w miejscu naprawy. Robi to z obu stron żagla w miejscu gdzie było rozdarcie. Teraz wystarczy przyszyć krawędzie łąt do żagla i Jeger jak nowy.

- Po masztach łazicie. Zdjęcia robicie. Czas marnujecie, a robota jest do zrobienia z uśmiechem atakuje nas bosman.

- Jaka robota? Dawaj! Już działamy.

- Sztender trzeba założyć, ten co się rano zerwał.

Faktycznie. Słyszałem o tym. Druga wachta przy stawianiu żagla tak się sprężyła, że urwała sztender. To stalowa linka która umocowana jest do łańcucha ciągnącego róg żagla. Na drugim końcu linki przymocowany jest bloczek prze który przechodzi elastyczna lina, za którą to właśnie ciągnęli siłacze z drugiej wachty. Stalowa lina pękając spowodowała, że z wysokości kilkunastu metrów spadł stalowy bloczek. Spadł to mało powiedziane. Został wstrzelony w kierunku pokładu. I to wprost na stojącego pod nim żeglarza, który miał stopować linę. Na całe szczęście uderzył go tylko w nogę i nie doznał większego urazu.

- Kował już zaszplajnował nowy? – pytam. Jak bosman „Krwawy Marek” dowiedział się, że Nasz kolega Kował, z zawodu jest szkutnikiem, to od razu go zaangażował do naprawy. Na końcach stalowej linki trzeba zrobić pętle, czyli szplajsy. Dopiero tak przygotowaną linkę uzbraja się w bloczek i montuje na szocie żagla.

- Podobno tak. W końcu zabrał się za to fachowiec – uśmiecha się bosman. Czyżby to była złośliwa uwaga do „Krwawego Marka”?

Wracam do kubryka i przeżywam szok!

- Była już inspekcja? – pytam. Podłoga lśni czystością. Wszystkie koje wyrównane i wyprasowane. Wszędzie porządek. Po prostu szok! Rozbieram szelki, gdy w drzwiach pokazuje się w mundurze galowym, świeżo ogolony Komendant

- Dzień dobry – mówi.

- Yyyy. Dzień dobry. Uwaga! Baczość! – zapłątany w szelki i lekko zszokowany próbuję opanować sytuację. Za Komendantem wchodzi Intendent, Pan Ryszard też na galowo. Za nimi Asystentka, Lekarz, Cieśla, Bosman i na końcu Chif.

- Był meldunek? – pyta Chif patrząc na mnie

- Tak był. Oczywiście. – odpowiada mu Komendant znacząco uśmiechając się do mnie. Lekko potakuję głową. Chif coś przeczuwa, ale w obliczu Komendanta nie ma odwagi kontynuować. Wszyscy rozglądają się po Kubryku.

- Coś zepsute? Jakież problemy? – pyta Chif

- Były problemy z koją ale uprzejmy Pan Cieśla już naprawił. – odpowiadam, pokazując dzieło Cieśli.

- No chyba najczystszy kubryk jak do tej pory – komentuje Komendant. Uśmiechamy się dumnie wszyscy.

- Jak niema uwag to chodźmy dalej – kończy Komendant – Dziękuję Panom. Do widzenia – żegna się wychodząc.

- Do widzenia – prawie chóralnie odpowiadamy.

Warto było poświęcić parę chwil na porządki dla pochwały. Chyba wszyscy mają teraz tą myśl w głowie.

- Wracamy do wszystkich zasad obowiązujących na tym statku – powiedział Komendant. Usłyszałem to, wchodząc na mostek gdzie rozmawiał z Pierwszym. – Zaprawa, zbiórki, bez taryfy ulgowej. W końcu wiedzieli, że będą załogą szkolną.

- Szczególnie te zbiórki. – potwierdził Pierwszy.

- Coś się stało, że takie zaostrenie? – nieśmiało zapytałem. Z Pierwszym się dobrze nie znałem, ale obecność Komendanta ośmieliła mnie.

- Żadne zaostrenie! Wracamy do normalności, bo się towarzystwo bardzo rozprężyło.

- Czyli jednak, ... coś się stało.

- Wczoraj przez dwie godziny nie mogliśmy znaleźć dwóch żeglarzy!

- O kurde!
- Zbiórki przez radiowęzeł, a ich nie ma. Może są za burtą, myślałem. Może trzeba zawrócić. – opowiadał wyraźnie podenerwowany Komendant. – Dla tego teraz będą zbiórki regulaminowe.
- A co się z mini w końcu stało?
- Spali schowani w koi i „mocno” zmęczeni.
- No nieźle, ale afera.
- Żadna afera, wracamy do normalności.
- A z której to wachty? – wścibsko zacząłem wypytywać
- Nieważne – powiedział Komendant znacząco spoglądając na Pierwszego. Ten odwrócił wzrok. Wszystko jasne z pierwszej – pomyślałem.

Noc ciemna i mglista. Z ledwością odnajdujemy się na deku.

- III wachta zbiórka pod forszotem, to znaczy na przeciwko. – wołam. Przyszła godzina dwudziesta i czas przejąć wachtę. – w dwuszeregu zbiórka. Służby morskie na górę za bosmańskim!
- Kolejno odlicz!
- Dwanaście niepełny ! – Jest tak ciemno, że nie widać kto mówi.
- Mało. Niema wszystkich. – podsumowuję. Dzwon sygnalizuje objęcie służby. Druga wachta schodzi robiąc zamieszanie w naszym dwuszeregu.
- Jeszcze raz. Kolejno odlicz! – woła Maciek.
- Dwanaście niepełny. A CMK liczyłeś?
- Liczyłem – odpowiadam w zasadzie Maćkowi. W poświacie korytarza mignęły jakieś postacie.
- No dziękujemy państwu. Już 10 minut na Was czekamy. Dobra, jeszcze raz kolejno odlicz!
- Trzyście niepełny.
- Ze mną, to jest dwadzieścia sześć. Sześciu na górze plus studentka to jest trzydzieści trzy. Chory wyszedł? – pytam
- Tak, jestem. – pada z ciemności.
- Dwóch w maszynie to jest trzydzieści pięć. Kogoś brakuje.
- Idę na mostek sprawdzić – rzucam do Maćka i przeskakując po dwa schody, jestem już na górze. Oko jeden, ster dwa i trzy.
- Ilu tu jest z trzeciej – wołam w otwarte drzwi mostka. Ciemność nie pozwala mi dostrzec twarzy.
- My, dwóch.
- OK – to jest pięć. Drugie oko sześć, dwóch na dole w szkolnej to jest siedem. – Tylko siedmiu. – mówię do Maćka.
- Ktoś doszedł? Kolejno odlicz! – przypomina mi się poranna rozmowa Komendanta.
- Trzyście niepełny.
- Idę sprawdzić kubryki.
- OK – odpowiada Maciek.

Przelatuję przez nasz. W kojach pusto. 153b tu śpi tylko dziesięciu. Pusto. Po cichutku wchodzę do kubryku dziewczyn, zwanego „Kubrycą”, tu śpią też z innej wachty. Naszych nie ma. Wracam na górę. Maciek rozgonił już towarzystwo. Część poszła do sortowania śmieci, część z bosmanem. Idę na sortownię.

- I co? – pytają.
- Nic, nikogo nie było. Rano była afera z pierwszą, a teraz u nas. – odpowiadam.
- Jaka afera.
- Nooo, dwóch, nie mogli się doliczyć, przez dwie godziny. Komendant bał się, że wypadli za burtę. Teraz też jest przechył, ślisko i ciemno.
- I co znaleźli się tamci?
- Tak znaleźli, a tu ktoś doszedł może? – cisza.
- Idę szukać Maćka. Znajduję go na mostku.
- I co? – pyta.
- Nic, nie ma. Po segregacji trzeba zrobić zbiórkę i jeszcze raz policzyć.
- Kogo nie ma? Kogoś brakuje? – dopiero teraz zauważam w ciemnościach Komendanta.
- Eeee
- Musimy sprawdzić czy wszyscy są – odpowiadam, ale sam wiem, że się już nie wypłacemy.
- A na zbiórce byli?
- No, nie, ale potem się rozeszli i pewnie doszedł, ale nie wiemy tego, ... więc trzeba przeliczyć jak skończą śmieci segregować – szukam najlepszej formy do przekazania wiadomości Komendantowi i naszej Oficer.
- Nie po śmieciach tylko teraz! I to zbiórka wszystkich. Asiu...
- Jeden zostaje na sterze reszta na dół. – zarządza Asia, poczym słysząc jej głos na całym statku. – Uwaga wachta trzecia! Uwaga wachta trzecia! Zbiórka całej wachty, powtarzam całą wachty.
- Schodzimy pod forszot. Światła całego statku rozpalają się. Ustawiamy się w dwuszeregu.

- Siedemnaście pełny – brzmi jak ułaskawienie.
- Są wszyscy.
- Idź zamelduj – mówi Maciek. – Może się przyzna ten, kogo nie było?

Za trzymuję się na schodach i spoglądam do tyłu.

- Ja - z szeregu występuje jedna z naszych dziewczyn.

Złość przechodzi w lekki podziw. Trzeba mieć dużo cywilnej odwagi by się przyznać. Lecę na mostek.

- Są wszyscy – melduję Pani Oficer, tak by słyszał to również Komendant.
- Dziękuję – Asia gasi światła pokładowe.
- Wracamy do normalności, ...do nor-mal-noś-ci – Komendant cicho, powiedział do siebie. Trochę mi głupi, że rano w duchu cieszyłem się, że to nie w naszej wachcie. Dobrze, że szybko się znalazła, a nie po dwóch godzinach. Cisza, ciemność i jeszcze ta lekka mgła. Za butą żadnych szans. Pozostaje tylko sprawdzony sposób – lista załogi wypełniona ołówkiem tak by można było wygumować – humor zaczyna wracać. Zupełnie inny rejs.

- Starszy! Gdzie są dobówki? Nie stawili się na kuchni! – kwadrans po szóstej, bosmański drugiej wachty budzi mnie.
- Co? Jak to nie poszli? – patrzę na sąsiednią pusta koje. Michała nie ma, więc poszedł. – Co ty gadasz!? Spadaj! Idź sprawdzić.
- Sprawdziłem. Nie stawili się na zbiórkę dobówek.
- Jaką zbiórkę? Co Ty pieprzysz? Są w kuchni! – obracam się na drugi bok i przykrywam śpiworem. Zasypiam.
- Starszy II wachty „Nerwowy Rysio” stoi nade mną.
- Obudź się! Dobówki nie stawili się na pentę i kuchnię.
- Powaliło Was wszystkich w tej drugiej wachcie?! Skąd to wiesz?
- Nasz bosman powiedział. – odpowiada Rysio
- A TY sprawdziłeś, czy mu wierzysz bezgranicznie?
- Nie stawili się na zbiórkę o szóstej.
- Jak się mieli stawić o szóstej na zbiórkę skoro za piętnaście szósta poszli do kuchni. Co Ty pieprzysz. Gaś światło i daj się wypaść!
- Niestety dwa razy przerwane snu nie udaje się już dokończyć. Ubieram się i wychodzę na pokład. „Krwawy Marek” – bosman drugiej wachty, szaleje na pokładzie krzycząc na swoich ludzi.
- Masz trudne dni dzisiaj? – rzucam do niego – Co z tymi dobówkami wymyśliłeś?
- Nie stawili się na zbiórkę!
- Na jaką zbiórkę?
- Dobówki mają się stawić o szóstej na pokładzie na zbiórce, żeby wiedział, że poszli do pentry i na kuchnię.
- Jak nie wiesz czy poszli, to sobie sprawdź. Rusz d... albo kogoś pošlij na kuchnię, a nie budź mnie! Poza tym jak mają być na zbiórce o szóstej, jak za piętnaście są na kuchni.
- Mają być!

Niecenzuralnym gestem żegnam się z bosmanem. „Krwawy Marek” nieźle nagrał sobie w swojej wachcie, a teraz próbuje w innych. Wyraźnie chce wprowadzić system wojskowej dyscypliny, jednak początkowe rozluźnienie, jakie miało miejsce wręcz uniemożliwia mu to. Po przywróceniu porannych zapraw wczoraj doprowadził do buntu pierwszej wachty, z której nie wyszła na zaprawę ani jedna osoba. Wściekły, obiecał zemstę. Coś mu się pomyliło! Widać, że ma duży problem jak sobie poradzić na rejsie z żeglarzami, a nie studentami. Do tego jeszcze „Nerwowy Rysio” jest tak ambitny, że próbuje wszystko zrobić tak jak chce bosman, zamiast stwarzać pozory. Na wczorajszej zaprawie kazano sprawdzić stan naszej wachty. Ustawieni w niby dwuszeręg zaczęli odliczać, gdy po chwili krzyknąłem:

- Osiemnaście pełny! – oczywiście, że wszystkich nie było – komplet - zameldowałem Instruktorowi drugiej wachty. Ten uśmiechnął się znacząco i powiedział:
- OK, skoro są wszyscy, to chętni przez marsa, a pozostali gimnastyka.

Razem ze studentką Gosią szybko przelecieliśmy przez marsa, po czym zameldowałem:

- Wszyscy chętni już przeszli, a pozostali wygimnastykowani.
- OK, to wolni! – znowu znacząco uśmiechnął się Maciek.

Pozory, pozory, pozory. O to tu chodzi. Najmłodszy uczestnik rejsu ma siedemnaście lat, a najstarszy osiemdziesiąt cztery, trudno taki zespół traktować tak samo jak studentów. Dlatego musimy tylko stwarzać pozory załogi szkolnej, a życie na statku będzie płynęło spokojnie, jak nasza fregata przez Morze Północne.

Na mostku analizuję prognozę synoptyczną, która dziś przyszła faxem. Komendant planuje dalszą trasę. Mamy jeszcze cały dzień do zabrania na pokład pilota.

- Pójdziemy na północny zachód, a potem zawrócimy i staniemy na kotwicy.

- A gdzie stajemy?

- Hmm. Albo tu na kotwiczowisku, albo zabierzemy pilota z marszu. – Komendant wyraźnie nie był przekonany do swoich planów

- Czyli, trochę pooramy Północne?

- No tak. Chyba, że staniemy tu – wskazał narożnik dwóch farwaterów, czyli takich morskich autostrad dla statków – i pilota z marszu ... – miejsce, które wskazał było oddalone od nas o jakieś 3 mile. – Tak, tak zrobimy. Stajemy na kotwicy! Za 10 minut alarm do żagli, zrzucaamy wszystko - przyłożył do ucha słuchawkę telefonu statkowego i powiedział: - Dzień dobry panu. Za pół godziny będę potrzebował maszyny. Stajemy na kotwicy. OK. Dziękuję.

- Idę ubrać szelki – powiedziałem chyba sam do siebie wychodząc z mostku.

- Jakie plany? Co robimy? Gdzie płyniemy? – grad pytań zasypał mnie przy wejściu do kubryka.

- Ja nic nie wiem. Stajemy na kotwicy. Za 10 minut alarm do żagli. Zresztą ja plotek nie roznoszę, a to się wszystko może zmienić – odpowiadam zakładając szelki.

- No dobra, dobra, ale to pewne?

- Uwaga, załoga i żeglarze. Uwaga, załoga i żeglarze. Alarm do żagli. Powtarzam, alarm do żagli. Zbiórka wacht pod masztami – zabrzmiał głos Komendanta w głośniczku.

- N I E P E W N E! – zaśmiałem się, dopinając szelki.

Trzecia wachta jak zwykle kotłuje się pod forszotem. Chyba są wszyscy.

- Bardzo proszę się ustawić w dwa szeregi. Oczywiście, jak skończyli już Panowie rozmawiać, bo nie chciałbym przerywać. – to efekt cudownej przemiany, która zaszła we mnie. Do tej pory zachowywałem się jak sierżant w wojsku. Teraz łagodnym głosem, proszę o zbiórkę w dwu szeregu. Czas przemiany. Zdziwienie jest tak ogromne, że oszołomiona trzecia wachta ustawia się tak samo sprawnie jak przy wojskowych okrzykach.

- Od razu, kto chętny na reję wystąp – twardym głosem, dyryguje Maciek. Trochę to zaburza atmosferę, którą wprowadziłem.

- Dwie reje, po czterech na stronę. Szesnaście? – pytam Maćka

- Nie, jeszcze na górnego marsa!

- Zrobią jak zejda z brama i bombrama.

- To zrobią dolnego. Jeszcze z dziesięć osób!

Chętni występują. Jest komplet 26 dzielnych „Rycerzy Króla Artura” na reje.

- Teraz obstać gejtawy i gordingi bombrama. Zaczynamy od góry i po kolei.

Żagiel po żaglu zrzucaamy, czyli podnosimy jak kurtyny w tym morskim teatrze. By za chwilę rozpocząć dwa spektakle, jeden na rejach, a drugi na dziobie z kotwicą. Ja bym tak zostawił – myślę patrząc na firanki podwieszone pod rejami. Co za piękny widok, jak w czasie gali paradnej.

- Dobra! Klarować żagle! Na reje! – Maciek przerywa moje zadumanie nad pięknem naszego żaglowca.

Wskazuje po schodach i na wysokości mostka przechodzę na wanty. Wyprzedzam innych, fortel się udał. Tadek obok mnie. Biegniemy do góry. Mam wrażenie, że zaczynamy się troszeczkę ściągać. Docieram razem na bramsaling. Lekko zasapani patrzymy w dół.

- To co, na nok? - proponuję

- Jasne!

Czekamy jeszcze chwilę i wspinamy się na bombram. Zostaję przy maszcie. Zaczynamy zbierać fałdy żagla. Coś mi przeszkadza. Żagiel nie układa się tak jak zawsze. Coś go trzyma. Gdy dochodzę do dolnego liku, okazuję się, że w bloczek gejtawy wkręcony jest kawałek żagla. Na szczęście nie rozdarło go. Jest tylko przeciągnięty, razem z linką na drugą stronę. Próbuję go wyszarpać. Żadnych szans. Trzeba pociągnąć szot. Wyszarpać go z powrotem.

- LUZ NA GEJTAWIE! – krzyczę z góry do Asi. Widzę, że moje słowa nie dotarły. Jeszcze raz wołam: - LUZ NA GEJTAWIE ! – jedną ręką trzymam podciągnięty żagiel, drugą pokazuję na bloczek. Zaraz pęknie mi ramię. Chyba nie utrzymam dłużej tego żagla.

- Złap go sajzingiem – mówię do kolegi obok – tak prowizorycznie.

Gejtawa puszcza. Jest luz. Z góry widzę, że Asia przez lornetkę obserwuje nasze zmagania.

- Dobra Panowie! Zaprzec się i ciągniemy za szota. – na całe szczęście jest czterech na reji poza mną, który w tej sytuacji nie wiele pomoże. Chłopaki ciągną ile sił, ale trzymanie się jedną ręką reji utrudnia zadanie. Nie ma szans. Moje próby wspomagania przez szarpanie, bądź wciskanie żagla nic nie dają.

- WYBIERAĆ SZOTA ! – krzyczę w dół, ale moje gesty, chyba są bardziej zrozumiałe od słów. Asia uzbrojona w lornetkę odczytuje moje intencję.

- Panowie uwaga! Ręce z daleka! Będą wybierać.

Szot napręza się. Żeby tylko nie potargać żagla. Krótkie szarpnięcia i żagiel wyskakuje z bloczka. Dwoma kciukami w górę sygnalizuje sukces.

- Uwaga na gejtawę – wołam. Lina napręza się i wybiera wcześniej wydany luz. Mocujemy żagiel na reji. Wydawało mi się, że nasze zmagania tak długo trwały, tymczasem dolny marsel nie obsadzony. Schodzimy z Tadeuszem. Tym razem ja przesuwam się na nok. Tadeusz idzie za mną. Reszta obsady dolnego marsa dołącza do nas. Zbieramy żagiel fałda po fałdzie. Na koniec wkładamy go do pierwszej fałdy zwanej taszą i mocno upychamy.

- Gotowi? To wciągamy żagiel na reje! – powoli od noku zaczynamy wkręcać taszę z żaglem na reje. To nasza najdłuższa, więc musimy zrobić to razem. Hałas z dziobu. Stajemy na kotwicy. Zaraz, zaraz. Przecież to jest ostatni alarm do żagli – pomyślałem. Patrząc na Tadeusza, widzę, że on myśli o tym samym. Czyli, co? To już ma być koniec? W ferworze walki z żaglami prawie by umknęło mojej świadomości ostatnie wejście na reję. Jakiś smutek ściska gardło. Chce mi się krzyczeć jak dziecko: Nie! Nie chcę! Ja chcę zostać na tym statku! Wiszę obok Tadeusza na reji świadomi końca rejsu. Trzeba to przerwać, bo się rozpłaczę – uśmiecham się w duchu.

- No gołąbki jak skończyli to odfruwamy! – wołam do sąsiadów na reji, faktycznie wyglądających ja stadko gołębi na gałęzi. – Ruchy, ruchy. Gołąbeczki. – Z dołu z uśmiechem patrzy na mnie Komendant. Widocznie usłyszał moje porównanie. Zbiegam na dół po wantach. Wyprzedzam innych zeskakując na nadbudówkę. Przechodzę na skrzydełko mostka i obserwuję jak schodzą pozostali.

- Żagle sklarowane. Zeszli wszyscy – melduję na mostek – po raz ostatni w tym rejsie.

- Dziękuję – odpowiada Asia

- No tak – dodaje Komendant. Nie wiadomo, dlaczego przybiera też smutną minę.

Atmosfera kończącego się rejsu panuje wszędzie. U nas w kubryku trwa przygotowywanie prezentów dla Asi, Maćka i Julka – naszego bosmana. Ja zebrałam pamiątkowe książki o Darze Młodzieży i idę po podpisy do Komendanta. Komendant w swoim apartamencie, zaprasza mnie do środka:

- Wchodź, Jarek. Co potrzebujesz?

- Mam pamiątkowe książki naszej wachty i chciałem prosić o autograf Pana Komendanta.

- Nie ma sprawy. Chodź siadaj.

To zwracanie się Komendanta do mnie po imieniu prowokuje do spoufalenia się, ale... Lepiej nie przekraczać pewnych granic. By nie powtórzyła się historia z rejsu z dziennikarzami.

Na cyklicznym rejsie dziennikarzy, który odbywa się na Darze Młodzieży, jeszcze za poprzedniego Komendanta pojawiła się pewna dziennikarka. Rejs był krótki, bo tylko pięciodniowy. Początkowo dziennikarka wywalczyła u załogi stałą, że mogła jadać w mesie załogowej. I tak, z posiłku na posiłek zmieniała stoliki, aż w końcu dotarła do stolika Komendanta. Na każdym posiłku zabawiała Komendanta różnymi opowieściami stopniowo zmniejszając dystans, gdy w końcu przyszedł ten pamiętny obiad z lampką czerwonego wina. Śmiejąc się wspólnie z Komendantem z opowiedzianego dowcipu zaproponowała:

- Panie Kapitanie, przepraszam może za moją śmiałość, ale... Tak sobie pomyślałam, czy nie łatwiej by nam było gdybyśmy sobie mówili po imieniu.

- Nooooo.

- Bardzo proszę, mówić mi po imieniu – za ciosem idzie dziennikarka – Magda jestem – powiedziała wyciągając ręką, a w drugiej trzymając kieliszek z winem.

- Eeee, no dobrze. – powiedział Komendant ściskając dłoń dziennikarki i również podnosząc kieliszek - Bardzo mi przyjemnie. Jestem: Pan Kapitan – powiedział uśmiechając się serdecznie. Zdziwienie było tak ogromne, że dziennikarka zaniemówiła. Lecz po chwili zrozumiała swój błąd i razem wybuchli śmiechem.

Tak sobie myślę, może ja już jestem po tej „ceremonii”, dlatego jestem z Komendantem „na Ty”. Śmieję się w duchu z moich przemyśleń. Komendant kończy wpis dedykacji w mojej książce.

- Wszystkie – uśmiechając się odkłada pióro.

- Bardzo dziękuję. Idę je porozdawać.

- O ósmej w mesie spotkanie całej załogi – zmienia temat.

- Tak, pamiętam.

- Będą niespodzianki – chwali się Komendant.

- Wiem steward Piotr prosił mnie o pomoc - uśmiecha się porozumiewawczo – a niespodzianki będą z obu stron – dodaje intrygując Komendanta.

- Ośmiu cumowników na rufę, proszę – wołam do wybranych już w pierwszym dniu rejsu osób. Stajemy na rufie w dwuszeręgu na burcie.

- Proszę się dobrać i podzielić po dwóch Panów do jednej cumy i szpringu – zarządza Asia. Razem z Tadeuszem zgłaszamy się do szpringu. Liny cumowniczej, która będzie prowadzona z rufy statku w kierunku dziobu.

- Stajemy prawą burtą – rozbrzmiewa radio w rękach Asi.

- Zrozumiałam. Prawą burtą. – Odpowiada – dwóch panów na górę z bosmanem do przygotowania lin – komenderuje Nasza Oficer. Skaczę po dwa schody i jestem na nadbudówce. Podaję linę pod relingiem i wydaję ją z wielkiego zwoju na dół do kolegi, który układa go na pokładzie wzdłuż burty zawijając w kierunku dziobu, a później z powrotem w kierunku rufy i tak parę razy. Statek musi się obrócić prawą burtą do nabrzeża, więc mamy trochę czasu. Końcówki lin przeciągnięte przez kluzy, czyli otwory w burtach. Reszta liny równo rozłożona na pokładzie. W dwuszeregu czekamy na kolejne rozkazy. Niestety wiatr i prąd bardzo utrudnia obrót statku.

- Zmiana. Stajemy lewą burtą. Powtarzam, stajemy lewą burtą – rozbrzmiewa w radiu głos Komendanta. Szybko zamieniamy burty. Na lewej burcie również mieliśmy przygotowane cumy do tak zwanych dubli. Pan Cieśla za manetką wielkiego kabestanu czeka w gotowości. Bosman z Maćkiem przygotowani z rzutkami.

- Rufa gotowa – Asia melduje przez radio.

- Kto podaje rzutki? – pytam Asi

- Pan Instruktor Maciek.

Maciek dowiązuje rzutkę do cumy. Powoli zbliżamy się do nabrzeża, na którym czeka cumownik z Antwerpii. Bosman czeka w odwodzie z drugą rzutką. To na wypadek gdyby Maćkowi nie udało się dorzucić.

- Możesz podawać – mówi Aśka – ale sam zdecyduj jak będziesz gotowy.

- OK – spięty odpowiada Maciek. Bierze dwa kroki rozpędu i z całej siły wyrzuca zwój cienkiej linki zakończonej ciężką kulą, w kierunku nabrzeża. Rzutka już prawie osiągała nabrzeże, gdy nagle zatrzymała się i wpadła do wody tuż przy wielkich obijaczach nabrzeża. Szybko przywiązuję końcówkę rzutki bosmana i odwiązuję tą pechową od cumy.

- Gotowe – krzyczę do bosmana. Teraz jesteśmy już trochę bliżej, więc będzie łatwiej. Bosman bierze duży zamach i rzuca. Już szczęśliwie rzutka trafia na nabrzeże gdzie jest złapana przez cumownika. Szybko podajemy cumę, którą cumownik zaczepia o wielki poler. Wybieramy luz i obkładamy na wielkim kabestanie.

- Wybieraj – komenderuje Asia. Cieśla załącza kabestan, który zaczyna powoli nawijać cumę. Powoli dociągamy się do nabrzeża. Odbieram rzutkę od cumownika i wiążę ją do szpringu.

- OK – krzyczę i razem z Tadeuszem podajemy szpring.

Szpring zaczepiony. Wybieramy luz i obkładamy go pachol cumowniczy.

- Zbierać luz na szpringu – woła Asia. Odwiązujemy i ciągniemy linę o średnicy pięciu centymetrów. Oj! Nie jest łatwo. Zabieg ten powtarzamy przez kilkanaście minut, aż słyszymy w radiu głos Komendanta:

- Rufa OK, dublować.

Zaczynamy dublować wszystkie cumy i szpringi. Cумы są dwie. Jedna podana z burty, a druga z rufy przez tak zwaną kluzę panamską. Cумы zdublowane, więc robimy klar. Zostawiamy trochę zapasu lin na dole, będzie potrzebna podczas opadania statku podczas odpływu. Resztę wciągamy na nadbudówkę, ładnie wszystko układając. Gotowe! Przechodzimy pod forszot i czekamy na zakończenie mocowania trapu. Wyraźnie widać, że dopłynęliśmy w chwili, gdy zaczął się odpływ. Nasz statek powoli zaczyna opadać.

- Dziękuję. Koniec manewrów. – rozbrzmiewa przez głośnik na pokładzie głos Kapitana.

Dopłynęliśmy szczęśliwie do Antwerpii. Znowu żal trochę ścisła gardło. Wracamy do kubryka by przygotować się do wyjścia na miasto. Musimy iść do wypożyczalni po zarezerwowany samochód.